



**PREZENTUJĄ SUBIEKTYWNY ODBIÓR
RZECZYWISTOŚCI PRZEZ AUTORA
I NIE POWINNY BYĆ UTOŻSAMIANE
Z OFICJALNYM STANOWISKIEM WIL
KRZYSZTOF OŻEGOWSKI**

Dzisiaj, choć nasze środowisko trapią nieco inne (ale czy na pewno?!) problemy, zwrócę Państwa uwagę na coś, co od paru dni dzieje się w cyberprzestrzeni. Zapewne większość słyszała o atakach hakerów występujących pod szyldem „Anonymous” na strony rządowe w różnych krajach, w tym w Polsce (choć rzecznik rządu temu zaprzecza – ale czy to po raz pierwszy rząd udaje, że nic się nie dzieje?). Ataki hakerów i osób z nimi sympatyzujących niestosujących typowego „hakowania”, czyli włamania na atakowaną stronę i np. jej blokowania lub zmianę treści, lecz „spamming”, czyli zarzucanie strony e-mailami w celu jej zablokowania, są częścią naszej rzeczywistości i w zasadzie nie budzą większych emocji (no, może poza właścicielami atakowanej strony).

Tym razem atakami interesują się media na całym świecie, jak i wiele rządów. To zainteresowanie wywołane jest nie tylko skalą ataku i jego adresatami, ale przede wszystkim powodem, czyli wejściem w życie porozumienia oznaczonego akronimem ACTA, czyli *Anti-counterfeiting trade agreement*. ACTA to układ zawarty między Stanami Zjednoczonymi, Australią, Kanadą, Japonią, Koreą Południową, Nową Zelandią, Singapurem i Szwajcarią, do którego mają dołączyć kraje Unii Europejskiej – Polska ma go podpisać 26 stycznia. Jego nazwę można przetłumaczyć jako „porozumienie przeciw obrotowi podróbkami”. Jednak to tłumaczenie może być mylące, gdyż tak naprawdę układ dotyczy specyficznie rozumianej ochrony własności intelektualnej w ogóle, szczególnie w internecie. Ktoś powie: i jaki problem? Przecież własność intelektualną należy chronić. Tak, ale...

Niestety, tych ale jest tyle, że trudno przejść nad nimi do porządku dziennego

bez szerokiej dyskusji. Tymczasem nasz rząd postanowił podpisać traktat bez niej, w tzw. trybie eksperckim – to efekt gruniowej decyzji UE, czyli poprzez zwykłą decyzję rady ministrów. Jak tłumacza przeciwnicy ACTA, jego podpisanie to zgoda na totalną inwigilację w internecie. W efekcie praktycznie każdy może być oskarżony o piractwo, nawet nieświadomie, gdyż np. zamieszczając w sieci filmik z domowej imprezy, w którym „w tle” będzie odtwarzany jakiś utwór, może zostać oskarżony o nielegalne jego wykorzystanie i nieopłacenie tantiem. Przykład może wydawać się komuś absurdalny, ale jak mówią znający temat, tak może być. W jeszcze gorszej sytuacji zostaną postawieni właściciele, administratorzy stron, którzy będą musieli kontrolować wszystko, co się dzieje na ich stronie internetowej, łącznie z zamieszczonymi linkami i komentarzami (i to zanim pojawią się na stronie, a nie jak obecnie po ich zamieszczeniu). Polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (fajna nazwa – tak na marginesie.) „oczywiście” nie widzi problemu, czemu dało wyraz w stosownym komunikacie: „Kuriozalnie brzmi zarzut jakoby ACTA przewidywało obowiązek monitorowania użytkowników internetu. Określone w tej umowie środki prawne nie mogą tworzyć barier dla zgodnej z prawem działalności, ani nie mogą naruszać prawa do wolności słowa, sprawiedliwego procesu i prywatności, a także konkurencyjności.”

Nie wiem jak państwu, ale mnie to przypomina niedawne komunikaty ministerstwa „ze zdrowiem w nazwie”, że ustawa refundacyjna jest super i nie widzi ono żadnych zagrożeń. A minister tam „sprawujący władzę” meldował: „Pacjenci są niezagrożeni!”. Jak było (i jest!), potem wszyscy widzieliśmy. Nawet premier zauważył to (sic!) i przerwał swoje ulubione zajęcia, czyli kopanie... piłki. Tym razem, prawdopodobnie także pod wpływem skali i nagłośnienia problemu, minister odpowiadający za informatyzację, a nazywający się jak sieć marketów, poprosił premiera o ponowne przedyskutowanie tematu (co ma nastąpić 23 stycznia). I znowu *déjà vu*. Mam tylko nadzieję, że z lepszym niż w naszym wypadku efektem.

Poznań, 22 stycznia 2012 r.